

## Zstąp niżej, niżej zstąp, zejdz na dół

Pierwsze wydanie *Baśni zimowej* Ryszarda Przybylskiego opublikowane zostało w roku 1998 i od tego czasu esej zyskał należne sobie miano tekstu klasycznego. Obecnie wydawnictwo Sic! zdecydowało się wznowić tę niewielką książeczkę – bardzo słusznie, bo słusznym jest przypominać rzeczy wspaniałe. Kiedy czytałem *Baśń zimową* po raz pierwszy, byłem na drugim roku studiów polonistycznych i był to, z tego co pamiętam, drugi tekst eseistyczny, który mnie oczarował – pierwszy to *Dłonie Marii* Kazimierza Wyki (wstyd się przyznać, ale *Podróże do piekieł* Micińskiego przeczytałem dopiero pod koniec drugiego roku studiów). Największe wówczas wrażenie zrobił na mnie fragment poświęcony przejmującemu umieraniu Jarostawa Iwaszkiewicza. I tym razem, po dziesięciu latach, rzeczy mają się podobnie. Ale nie zaczynamy od środka, bo na początku był Sokrates. Ryszard Przybylski rozpoczyna swą podróż u samych źródeł, od opisu ostatnich dni i godzin ateńskiego mędrca. Zaznacza, że starość Sokratesa była nader krzepka, zdrowa, pełna żywotności. To bardzo istotna wiedza, bo dzięki niej można w pełni zracjonalizować i tym bardziej docenić odwagę poniesienia kary śmierci, na którą sam siebie skazał ateński myśliciel, i to, że nie przyjął od swych towarzyszy pomocy w ucieczce (a wszelakie okoliczności ocalenia istniały bądź to w rękach samego mędrca, bądź to w rękach jego przyjaciół – już po skazaniu). Pełnia sił witalnych i umysłowych podkreśla tylko ofiarę, jaką na ołtarzu walki z głupotą złożył Sokrates. Gdyby nie był zdrów, cierpiał na którąkolwiek z licznych chorób wieku leciwego, wówczas jego zachowanie można by zrozumieć tym łatwiej. Ale Przybylski sugeruje także, że jedną z przyczyn samobójczego przedsięwzięcia Sokratesa była chęć uniknięcia fizycznych katuszy, jakie biologia niechybnie by nań zesała. Nawet on nie uniknąłby nieprzyjemności bycia prawdziwie starym człowiekiem.

Czego by jednak nie powiedzieć – starość Sokratesa pozostaje starością idealną, wymarzoną przez każdego. Jest to bowiem starość w pełni samodzielna, a samodzielność jest dla człowieka rzeczą szczególnie cenną. Dziś coraz więcej wiemy o starości, o przemijaniu, o śmierci – medycyna czy farmakologia potrafią pewne zjawiska z tym związane skutecznie eliminować, powstrzymywać, a gdy to się nie uda, możemy coraz doskonalszymi uśmierzaczami bólu oszukiwać przeznaczenie. Ludzie przedsiębiorczy zdali sobie sprawę, że człowiekowi starymu trzeba nade wszystko zorganizować czas, który mu pozostał. Problem dotyczy zwłaszcza krajów zachodniej Europy, z roku na rok coraz to bardziej się starzejących. Z problemu zdają sobie sprawę także decydenci – na różnego rodzaju przedsięwzięcia dotyczące zorganizowania czasu starego człowieka można otrzymać wcale niezłe pieniądze. Wyrzut sumienia ze strony bogacza? Pewnie też, ale przede wszystkim bardzo palący, niecierpiący zwłoki problem. Ale nie o takiej

starości traktuje *Baśń zimowa*. Wykład Przybylskiego jest smutną przypowieścią o starcu samotnym – samotnym swoją starością. Autor eseju podważa mit starości silnej, mądrej, rozumnej, zdystansowanej w stosunku do siebie i bliźnich, dobrotliwie pomocnej swoim doświadczeniem. Starość Ryszarda Przybylskiego to starość niedowiarka, starość pełna obaw, chorób, fizjologicznych niedomagań, a nawet pospolitych okropieństw, jakie zsyła na załamane go człowieka nieubtłagana biologia. A jeśli dodać, że bohaterami eseju są starcy o osobowościach ponadprzeciętnie wrażliwych, uczucie towarzyszące lekturze wydaje się tym bardziej dojmujące. Taka właśnie, pełna obaw o jutro, jest ich starość, może poza jednym Thomasem Stearnsem Eliotem, który swojego *Gerontion*a napisał w wieku lat trzydziestu dwóch i do przeżycia miał jeszcze szmat czasu. Czy w wieku lat trzydziestu kilku można myśleć o starości oczami, duszą i psychiką starca? Michał Anioł twierdził, że jest to niemożliwe i starości może doznać wyłącznie człowiek wiekowy. Eliot to jednak potrafił, był bowiem poetą i aktorem w jednej osobie – potrafił oszukiwać czas, umiał przywdziewać cudze szaty i odgrywać bardzo realne sceny poetyckie – dzięki erudycji, ale nade wszystko genialnej intuicji. Zresztą przypadek Jarosława Iwaszkiewicza i jego bardzo szybki kryzys egzystencjalny świadczą o tym, że poemat Eliota nie musi być wyłącznie genialnie wyuczoną kwestią.

Iwaszkiewiczowi upływ czasu zaczął doskwierać stosunkowo wcześniej – dobiegał wówczas mniej więcej czterdziestki. Nie były to wszakże typowe utyskiwania człowieka, który właśnie przekroczył to, co nazywamy smugą cienia. Chodzi o rzecz daleko głębszą – myśl o śmierci gościła od pewnego momentu w głowie i tekstach autora *Brzeziny* właściwie nieustannie. Nie potrzeba mędrca, by wiedzieć, że czas ludzki dzieli się na czas obiektywny i subiektywny. Starzejemy się równo, ale zarazem w różnym czasie – jedni szybciej, inni nieco później. Według Maxa Schelera wszystko jest kwestią doświadczenia. Im jesteśmy młodszy, tym mniejsze mamy doświadczenia (Scheler nazywa to sobie „sferą przypomnień”):

„Dla chłopca i młodzieńca jego przeżywana przyszłość wygląda jak szeroka, jasna, prowadząca w nieskończoność, jaśniejąca droga (Gang), jak niezmierzone pole przybierające formę przeżyciową »możności przeżywania«, na którym życzenie, pragnienie i fantazja odmalowują tysiące postaci”<sup>1</sup>.

Wraz z nabieranym doświadczeniem owa droga traci swój utopijny blask, zwęża się znacznie to, co można jeszcze przeżyć. Można być najwyżej świadkiem czegoś, co już się przeżyło (starzenie się – pisze o tym również Ryszard Przybylski – potrafi skutecznie stępiać uczucia). Kiedy Wiktor Ruben po kilkunastu latach przybywa ponownie do Wilka, ma lat czterdzieści i jest rówieśnikiem Iwaszkiewicza. Mówi o sobie, że przeżył już wszystko, a to, czego nie przeżył, ominęło go bezpowrotnie, bo każde doświadczenie ma swój niepowtarzalny, naturalny czas (mają swój czas także poziomki i zjedzenie poziomki niewczesnej nie cofnie pory roku, jak będzie tłumaczył Tuni). Ruben w Wilku odzyskuje pełnię sił fizycznych, jednak mentalnie wyjeżdża stamtąd jeszcze bardziej utwierdzony w braku oczekiwania na przyszłość. Świątną ilustracją tej psychicznej starości jest końcowa sekwencja

<sup>1</sup> M. Scheler, *Cierpienie, śmierć, dalsze życie. Pisma Wybrane*, tłum. A. Węgrzecki, Warszawa 1994, s. 80.

z przepięknej ekranizacji *Panien z Wilka* Andrzeja Wajdy. Wiktor Ruben jedzie pociągiem do Warszawy. Jednak stacją końcową nie jest Warszawa „Anno Domini” 1932, a miasto to nie współczesne miejsce, z blokowiskami i całą wielkomiejską infrastrukturą. Naprzeciwko niego siedzi osiemdziesięcioletni autor dopiero co napisanej *Mapy pogody*. Siedzą w tak niewielkim oddaleniu, że kradzież czasu wydaje się na wyciągnięcie ręki. Jednak Wiktor i Jarosław wiedzą, że obaj tworzą bardzo dziwną jedność. Obaj są faktycznie u kresu. Wiktor w pasażerze siedzącym naprzeciw widzi siebie, bo mentalnie czuje się starcem, jakkolwiek swoje jeszcze może przeżyć. Natomiast Iwaszkiewicz w Wiktorze widzi siebie sprzed lat czterdziestu, kiedy droga prowadząca ku nieskończoności była jeszcze w miarę szeroka. Owszem – i wtedy autor *Brzeziny* nie widział jej jasnej i optymistycznej, ale przecież cały czas istniało w nim jakieś światło pragnień. Tymczasem w scenie zaaranżowanej przez Andrzeja Wajdę panowie mogą tylko patrzeć sobie prosto w oczy i widzieć w nich wyłącznie melancholiczną stratę nie do odzyskania. Myślę, że ta scena z filmu Andrzeja Wajdy jest doskonałą ilustracją Iwaszkiewiczowskiego dramatu upływającego czasu.

Ryszard Przybylski zajął się ostatnimi chwilami życia poety – kiedy siły fizyczne doszczętnie go opuszczały. Leżał już wówczas w szpitalu i wyplakiwał się Oli Watowej, cierpiał, ale i całkiem po ludzku bał się tego, co przyjąć może lada chwila. Targały nim wówczas przede wszystkim myśli ostateczne, choć czasami tę funeralną muzykę na bardzo krótko nachodziła zbłąkana nuta chwilowego optymizmu – „jeszcze nie teraz”, „jeszcze nie jutro”. Przybylski skupia szczególną uwagę na opowiadaniu *Sérénité*. Słowo to autor eseju tłumaczy jako „uspokojenie”. I tak zdaniem Ryszarda Przybylskiego bywało, ale nie był to niestety stan niezmienny. Iwaszkiewicz przede wszystkim czuł niepokój oczekiwania na coś bardzo nieznanego i niepokojącego – na coś, co dotyka każdego z nas, ale w obliczu czego zawsze i tak jesteśmy sami. Do tego wszystkiego dojmująca wiedza – jak się to objawia i co jest potem?... Czy coś jest potem? Ostatnie rozmyślenia Iwaszkiewicza nie są szamotaniną i w tym sensie są pełne „uspokojenia” – coś w rodzaju „spokojnej rozpacz”. Bóg Iwaszkiewiczowski, jak najbardziej prywatny wytwór sumienia, lektur i zebranego dotychczas doświadczenia życiowego nie jest Bogiem, który zapewni poecie po śmierci ukojenie, bo dla autora *Ogrodów* prawdziwą granicą „życia przytomnego” jest Nicość. Umrzeć oznacza pójść w Nicość. Przybylski cytuje przejmującą *Odę żałobną* – utwór pełen gorzkiego, ale bezwzględного pogodzenia z ostatecznym końcem. Utwór pełen smutku, ale jakże odważny. Kiedy teraz, po dziesięciu latach, czytałem znowu *Baśń zimową*, o słowie „odwaga” myślałem chyba najczęściej. Ile odwagi trzeba, by na progu śmierci pisać takie wiersze, by się przyznać przed samym sobą do tego, że poza tym światem nie ma już nic – albo jest właśnie Nic. Ile odwagi potrzeba, by podzielić się wiedzą, że wszystko, co się ukochało, znajduje się tylko tutaj. Odwaga nie lada było napisać esej o starości. Kiedy Przybylski kończył swój tekst, miał lat sześćdziesiąt dziewięć, wystarczająco dużo, by uznać przedsięwzięty temat za cokolwiek wzywający. W chwili pisania jest mniej więcej w wieku bohaterów swej pesymistycznej opowieści, boi się tak samo jak oni, z czego zdaje nam sprawę w relacji swojego snu. Ryszarda

Przybylskiego i bohatera jego ostatniego eseju, Tadeusza Różewicza, myśli o przemijaniu dopadają w nocy (wiemy, że noc sprzyja wyolbrzymianiu problemów codzienności, jak też napadom na co dzień jakoś tam odepchniętych myśli ostatecznych). Śni mu się oto, że budzi się rano i przystępuje do swoich pisarskich i lekturowych zajęć, wcześniej dokonuje toalety porannej, wszystko odbywa się jakby normalnie, ale za każdym razem, kiedy mu się śni ta scena, ominięty zostaje etap jedzenia śniadania (jakby nie było ono już mu potrzebne), a przy biurku zostaje świeżo rozkopany grób. Inaczej jest w przypadku wiersza Tadeusza Różewicza, chociaż utwór również jest zapisem widzeń sennych. Wizja, która nawiedziła poetę stanowi pogranicze snu i jawy. We śnie świat jest brunatny i szary, pozbawiony życia. Ową niesprzyjającą przestrzeń przebywa dziwne zwierzę – ni to biegnie, ni unosi się w powietrzu, gatunkowo trudne do kwalifikacji – Przybylski nazywa je po prostu „mutantem”. Zwierzę pograża się w mroku (a mrok jest nicością, jest śmiercią) i wtedy Różewicz konstatuje, że to jest o nim, że to on podąża tropem cmentarza...

Esej Ryszarda Przybylskiego jest przejmującym zapisem zmagania się ze starością. Lekcja nie jest optymistyczna, chociaż tej niewielkiej książeczki nie napisano językiem smutku i wyrzekania. Mamy tu język wyniosły, nie wolny od konfrontacji, miejscami czu-purny. To zresztą typowy rys tego pisarstwa – opatrywać nawet najbardziej podniosły temat ironią, bywa, że ocierającą się o butę wobec tego, o czym traktuje tekst. Ryszard Przybylski zawsze tak się broni i oswaja to, co najtrudniejsze. Nie zmienia to oczywiście głównej tezy – starość pozostaje pełnym cielesnych mąk i codziennych dolegliwości oczekiwaniem na śmierć, porównana zostaje do celi śmierci, gdzie koniec może nadejść w każdej chwili. Cella śmierci jest także miejscem, w którym sądnego dnia oczekuje się w samotności, a to jeszcze jedna z tortur psychicznych, która czeka skazańca. Starzec, zdaniem Przybylskiego, zawsze w tym zimowym czasie pozostaje tak naprawdę sam.

„Stary Człowiek, nawet jeśli jest nadal radosny i twórczy, naprawdę już umarł. Żyje w ziemi i żywi się ziemią. Odżywia się tylko »pokarmami ziemskimi«, chyba, że zaproszony na Wieczerzę Pana grzeje się w Kuchni Anielskiej. Usta, w których powstają słowa; czaszka, w której kołacze się myśl, pełne są już piachu”<sup>2</sup>.

Ryszard Przybylski, *Baśń zimowa. Esej o starości*. Wydawnictwo Sic!, wydanie II, Warszawa 2008.

---

<sup>2</sup> R. Przybylski, *Baśń zimowa, Esej o starości*, wydanie II, Warszawa 2008, s. 136.